POLSKA NA MORZU

PISMO LIGI MORSKIEJ i KOLONIALNEJ

Nr 5 | WARSZAWA, MAJ 1939 ROKU | ROK VI



Z prac LMK w latach 1937-38

Miarą wartości organizacji, głoszącej pewne hasła jest to, czy hasła te rozpowszechniają się w społeczeństwie, czy znajdują zrealizowanie. Hasła wysuwane przez Ligę Morską i Kolonialną nie tylko zyskały oddźwięk w najszerszych warstwach, ale weszły w stadium czynu w pewnych dziedzinach, a w innych stanowią punkty programu instytucyj, które mogą je w pełni wykonać.

Jakież to hasła, jakie idee wnosiła Liga w życie społeczeństwa?

Warto się nad tym zastanowić. Chwila jest po temu odpowiednia, bo w dniach 20 i 21 maja br. odbędzie się VIII Walny Zjazd Delegatów LMK w Toruniu, który nakreśli dalszy program działalności naszej organizacji i przedyskutuje prace z ostatnich dwóch lat.

W programie prac LMK najpoważniejsze miejsce zajmowały trzy zagadnienia: sprawa obrony morskiej, akcja kolonialna i wychowanie morskie młodzieży.

Czytaliśmy niedawno wszyscy o przybyciu do Gdyni nowej jednostki marynarki wojennej O. R. P. „Orzeł". Ten okręt podwodny — to realny, widoczny dowód zrozumienia społeczeństwa dla sprawy obrony morskiej. Nie żałowano darów na F. O. M. i dziś mamy ufundowaną ze składek społecznych jednostkę floty. Nie koniec na tym. Napływ ofiar nie ustał, poczucie odpowiedzialności nie pozwala spocząć. Przystąpiliśmy do realizowania nowego hasła: „Budujmy ścigacze!" i na ten cel zebrano już sumę przeszło 3 i pół miliona zł. W obliczu ogólnych zbrojeń morskich w Europie, zrozumienie roli marynarki wojennej jest specjalnie cenne i konieczne.

Drugim naczelnym postulatem Ligi była akcja kolonialna.

Dziś sprawa kolonij, zarówno z punktu widzenia potrzeb surowcowych jak i emigracyjnych, jest zrozumiała dla wszystkich. Zeszłoroczne „Dni Kolonialne" świadczyły dobitnie, że wezwanie „Żądamy kolonij dla Polski" stało się hasłem powszechnym. O koloniach mówi się w Sejmie i Senacie, zagadnienie kolonialne poruszają na swych zjazdach i obradach sfery gospodarcze, uzyskanie kolonij stawia jako punkt programu nasz rząd.

Jeśli chcemy uzyskać kolonie, musimy być przygotowani na umiejętne ich wykorzystanie. Tą dziedziną pracy zajęła się obecnie Liga. Liczne stypendia do szkół kolonialnych za granicą, nawiązanie kontaktu z wszystkimi tymi, którzy bezpośrednio poznawali tereny kolonialne, a więc mogą wiele powiedzieć o istotnych cechach życia kolonisty — wszystko to zmierza do wyrobienia ludzi, którzy by w koloniach mogli pracować z wielką znajomością warunków tej pracy i z wiadomościami fachowymi.

Pokolenie obecnie wzrastające znajduje w sobie wielkie zrozumienie dla spraw morza i kolonij. Na to właśnie — na morskie wychowanie młodzieży — zwrócono specjalną uwagę w programie Ligi. I na tym odcinku dążenia LMK osiągnęły jak najlepsze rezultaty. Obozy żeglarskie dla młodzieży nad jeziorami Narocz i Żarnowieckim przeszkalają co lato setki uczniów i uczennic, wiążąc ich ściśle z wodą, budząc zamiłowanie do swobodnych wodnych wędrówek. Rejsy na „Zawiszy Czarnym" są jakby urzeczywistnieniem marzeń o dalekich morskich podróżach dla wielu młodocianych marzycieli. Nie tylko jednak od strony pięknego przeżycia, szlachetnego sportu czy realizowania marzeń podchodzi młodzież do morza. Zaczyna jasno i trzeźwo ujmować morze z punktu widzenia gospodarczego, zaczyna poważnie brać pod uwagę zawody związane z morzem i to nie tylko służbę w marynarce, ale handel zamorski, pośrednictwo itp.

Niejako „liczbowym" dowodem wzrostu zainteresowania młodzieży morzem jest fakt, że w r. 1936 ilość Kół Szkolnych LMK wynosiła 1.180, a w r. 1938 wzrosła do 1.823.

Obok tych trzech naczelnych punktów programu Ligi wysuwał się cały szereg innych zagadnień, które w miarę potrzeby zajmowały więcej miejsca w pracy Ligi. Tego rodzaju sprawą jest regulacja Wisły. Liga sprawę tę wysuwa i akcentuje bardzo poważnie.

Rozwój naszego wybrzeża, zajęcie się ludnością rybacką wybrzeża — to także dziedziny działalności LMK. W lecie ub. r. poświęcony „Dom Rybaka" w Wielkiej - Wsi, wybudowany w dużej części staraniem Okręgu Stołecznego LMK, spełnia rolę placówki kulturalno - oświatowej dla rybaków z polskiego wybrzeża.

Zagadnienia programowe propaguje LMK przez liczne zebrania, odczyty, ulotki, afisze, broszurki, a w pierwszym rzędzie — przez swoją prasę. Wszystkie wydawnictwa Ligi znacznie powiększyły swój nakład i obecnie „Morze i Kolonie" wychodzi w ilości 238.000, „Polska na Morzu" — 430.000 egz., co stanowi niezwykle wysoką pozycję wśród czasopism.

Charakterystyczną cechą prac Ligi jest ich ogromna aktualność i ważkość. Nie tracą swego znaczenia, przeciwnie coraz bardziej je zyskują. Rozumie to społeczeństwo, coraz liczniej wstępujące w szeregi organizacji. Liczba 900.000 członków jest już potęgą — w przyszłym jednak dwuleciu LMK musi ogarnąć wszystkich obywateli, świadomych obowiązków wobec kraju.

Jak pracują nasze porty

Polska posiada, jak wiadomo, obok kilku mniejszych, dwa wielkie porty, które umożliwiają jej swobodny i nieskrępowany kontakt z całym światem. Jednym z nich jest nowoczesna Gdynia, chluba pracowitości naszego pokolenia i symbol dążeń Polski do panowania nad morzem. Drugi port, tradycją wspólnej historii związany z Polską, znajdujący się na terytorium Wolnego Miasta Gdańska, należy tylko w połowie do Polski, gdyż tak postanowiły umowy i traktaty międzynarodowe, które zostały Polsce narzucone, kiedy nie była jeszcze taka silna i potężna jak dziś. Tym nie mniej port gdański oddaje poważne usługi polskim interesom gospodarczym. Handel zagraniczny Polski, któremu porty służą przede wszystkim, jest tak wielki, że nie może ograniczyć się do jednego tylko portu, musi on mieć do swej dyspozycji conajmniej i drugi. Tym bardziej, że ten drugi leży u ujścia Wisły, tej naturalnej drogi z Polski do morza.

Oba porty są w silnym stopniu wykorzystane przez Polskę dla potrzeb swego handlu. Świadczą o tym cyfry, które mówią, że z całego handlu zagranicznego Polski przechodzi przez porty polskie 78 proc., z tego przez Gdynię 46 proc., a przez Gdańsk 32 proc., czyli mówiąc ogólnie prawie połowa polskich obrotów handlowych idzie przez Gdynię, a jedna trzecia przez Gdańsk. Do tego dochodzą jeszcze cenne transporty tranzytowe, przeznaczone, względnie pochodzące z krajów, leżących poza Polską, więc z Węgier, Rumunii, Jugosławii, Słowacji i t. d. Łącznie są to poważne ilości, które przeładowuje się w Gdyni i Gdańsku. W roku 1938 np. przeładunek Gdyni wyniósł 9,2 milionów ton, a Gdańska 7,1 milionów ton.

Przyjrzyjmy się, jakie towary się przeładowuje i jak ten przeładunek się odbywa.

Najważniejszym artykułem, jaki Polska ma na sprzedaż na rynku międzynarodowym, jest **węgiel**. Ten węgiel, który w codziennym znoju wydobywany jest rękami polskiego górnika na Górnym śląsku, w Zagłębiu Dąbrowskim i na Zaolziu. Codziennie długie pociągi, naładowane czarnymi diamentami, toczą się po stalowych szynach ku portom. Tu z kolei szereg dźwigów swoimi chwytakami przesypuje węgiel z wagonów wprost do statków lub specjalne urządzenie, przechylając cały wagon, wypróżnia od razu całą jego zawartość do luki statku. Drugim najważniejszym artykułem wywozowym jest **drzewo**, pochodzące ze stoków Karpat lub z lasów kresowych. Wszyscy dobrze znamy tratwy, płynące po polskich rzekach ku morzu, aby w Gdańsku po wysuszeniu i przeróbce materiał w ten sposób przywieziony znalazł się znowu w lukach statków i był dostarczony do dalekich krajów zamorskich. To samo dzieje się w Gdyni, z tą różnicą, że drzewo przywiezione jest koleją. — Trzecim ważnym towarem, który idzie za pośrednictwem portów z Polski do innych krajów, jest **zboże** oraz jego produkt, mąka, poza tym także **rośliny strączkowe.** Dalej idą inne wytwory pochodzenia rolniczego. Polskie **szynki i wędliny, jaja, masło** — wszystko to, co zapobiegliwość i pilność polskiego rolnika wytwarza, dzięki pracy portów może dotrzeć bezpośrednio do zagranicznego konsumenta. Uzyskane dzięki sprzedaży zagranicą zyski pozwalają rolnikowi pracować rentownie, co nie byłoby takie łatwe, gdybyśmy nie mieli własnych portów i musieli nasze wytwory kierować przez obce porty. Cały jeszcze szereg innych towarów eksportujemy przez nasze porty, że wymienię **produkty chemiczne, nawozy, wytwory przemysłu metalowego, wyroby tekstylne i inne.** Wszystkie te wytwory, powstałe dzięki pracy polskich rąk i mózgów możemy sprzedawać i wysyłać w świat bez pośrednictwa i kontroli kupców obcych, bo posiadamy swoje własne polskie placówki handlowe zarówno w Gdyni jak i w Gdańsku.

Polska nie tylko wywozi, ale i przywozi towary z zagranicy. Sprowadzamy przeważnie takie towary, których sami nie posiadamy lub nie możemy produkować, a więc **kawę, kakao,**

Miłość morza winna być źródłem,

z którego czerpać będą swą moc przyszłe pokolenia Polski

herbatę, kauczuk, bawełnę, nasiona oleiste, owoce południowe, rudy, piryty i t. d. Te towary, dzięki specjalnym urządzeniom przeładunkowym są znowu wyciągane z głębi okrętu i idą bądź bezpośrednio na wagon celem natychmiastowego transportu do miejsc przeznaczenia w zapleczu, bądź są kierowane do magazynów, gdzie dopiero po zważeniu, posegregowaniu, przepakowywaniu i innych przeróbkach są dalej odtransportowane do kraju.

Jak widzimy z tego krótkiego przeglądu, szereg artykułów, przeładowanych w portach jest bardzo długi i różnorodny. Prawie każdy rodzaj wymaga też innego obchodzenia się przy przeładunku. Jedne, tzw. towary masowe, jak n.p. węgiel, dzięki urządzeniom mechanicznym są przeładowywane w wielkich ilościach i nie wymagają prawie żadnej pomocy w postaci siły fizycznej. Inne t. zw. towary drobnicowe, a więc takie, które są opakowane w skrzyniach, workach, beczkach i t. d. muszą być stale dozorowane, przenoszone, układane w większych partiach, co wymaga stałego udziału siły fizycznej. Toteż bardzo ważnym czynnikiem w porcie jest człowiek pracujący. Od jego znajomości rzeczy, obchodzenia się z ładunkiem, zręczności, zależy w dużym stopniu sprawność pracy całego portu. Dzięki zaletom robotnika portowego urabia się często ogólna opinia o porcie. Lecz poza tym spełniają również ważną rolę inne kategorie osób, pracujących w porcie według koniecznego podziału pracy. I tak wymienić trzeba tu odpowiedzialną funcję kolejarzy, dbających o to, aby w porcie nie powstały zatory, urzędników celnych i straży portowej, strzegących mienia państwowego, dalej ściślej związanych z pracami przeładunkowymi ekspedytorów, sztauerów, rzeczoznawców, kiperów i wielu innych. Wreszcie, nie można zapominać o marynarzach, których właściwa praca odbywa się wprawdzie na statkach podczas podróży na morzu, często jednak współpracują oni przy wyładunku lub naładunku w porcie.

O tym, jak ci ludzie morza i portu pracują w dzień i nocy, zimą i latem możnaby pisać jeszcze dużo. Niech nam, którzy patrzymy na nich z lądu, wystarczy jednak te kilka uwag oraz świadomość, że wszyscy, oni i my, wspólnie pracujemy dla dobra i wielkości Polski.

Leon Radzikowski

Na wodach świata

To, co się dzieje dziś na morzach świata, przykuwa uwagę wszystkich myślących ludzi.

Wiemy bowiem, że o wolności, potędze i dobrobycie narodów stanowi morze, na którym panuje marynarka wojenna. Ta marynarka wojenna, która pospołu z wojskiem na lądzie i lotnictwem w powietrzu, broni całego kraju, nie zaś tylko, jak dawniej myślano, brzegu czy wód przybrzeżnych. Broni komunikacji morskich, strzeże wielkich szlaków handlowych, po których pływają statki z cennymi a bardzo potrzebnymi ładunkami. Wywiera też wielki wpływ na całą politykę światową.

Zacznijmy od Morza Śródziemnego. Włochy — leżące nad tym morzem — w znacznej mierze dzięki swej marynarce wojennej zajęły zamorską Abisynię. Bez niej nie zajęłyby też Albanii, z którą graniczyły tylko poprzez cieśninę morską Otranto — szeroką na 70 kilometrów.

Niemcy również rozbudowały swą marynarkę wojenną w ostatnich pięciu latach, chcąc panować na Morzu Bałtyckim.

Zbudowali przede wszystkim bardzo dużo okrętów podwodnych, mających za zadanie w razie wojny atakować statki handlowe, wiozące wszelakie zaopatrzenie do krajów nieprzyjacielskich. Szczególnie w tym wypadku byłaby zagrożona Anglia, która, jako wyspa, nie może się sama wyżywić i musi korzystać z zamorskiego dowozu.

W czasie pokoju przewaga morska Niemiec na Bałtyku podporządkowałaby ich wpływom wszystkie obroty handlowe w obrębie tego morza, w czasie wojny — zapewniłaby im bezpieczny dowóz wszystkiego, czego byłyby w stanie dostarczyć kraje bałtyckie i skandynawskie, jak np. bogatych rud żelaznych Szwecji, tak niezbędnych Niemcom do produkcji armat, samolotów, czy maszyn.

Słowem Niemcy, mając silną flotę wojenną, mogą odciąć inne kraje od dowozu morskiego, a samym sobie ten dowóz zabezpieczyć. Zaś na Morzu Śródziemnym, pospołu z Włochami przeszkodzić ruchowi statków handlowych angielskich i francuskich, a sobie połączenia morskie ułatwić. Przecież z Australii, Indyj i Dalekiego Wschodu, płyną przez Kanał Sueski na Morze Śródziemne i dalej, obok twierdzy Gibraltaru na Atlantyk aż do Anglii właśnie — transporty towarowe, a w razie wojny i wojska kolonialne. Tak samo, jak z portów Afryki północnej, płyną znów tran-

sporty wojskowe i handlowe do Francji, bez których Francja obejść by się nie mogła.

Na pierwszy rzut oka wydaje się więc, że z Anglią i Francją może na wypadek wojny być krucho. Tak nie jest, bo Anglia i Francja nie darmo panują na morzach. A choć znów na morzu wygrywa nie koniecznie silniejszy, bo duch zwycięstwa, sprawność załóg i geniusz dowódcy też coś znaczą — to jednak właśnie wszystko skłania się ku temu, że po stronie Francji i Anglii będzie nie tylko przewaga w ilości okrętów, ale i lepszy duch.

Flota Wielkiej Brytanii jest dziś nie dwukrotnie, jak to w ostatniej wojnie było, ale przeszło pięciokrotnie silniejsza od niemieckiej. Flota francuska jest o ćwiartkę silniejsza od włoskiej. Trzecie państwo osi Rzym — Berlin — Tokio, Japonia miałaby trudności w wysłaniu swej marynarki wojennej do Europy, bo trzymać ją będzie w szachu najpotężniejsza i prawie dwukrotnie silniejsza flota Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej; a przy tym Japonia uwikłana jest w wojnę chińską. Niechby tylko okręty japońskie nie mogły swobodnie pływać między wyspami swego kraju a chińskim brzegiem, wojska japońskie walczące w głębi Chin, byłyby zagrożone.

Na samym Morzu Śródziemnym jest nie inaczej. Mogą wprawdzie Włosi przeszkadzać swymi łodziami podwodnymi i samolotami transportom angielskim czy francuskim. Ale Anglicy i Francuzi znajdą sposób, płynąc bądź naokoło Afryki, z ominięciem Morza Śródziemnego, bądź też z Afryki do Francji czy Anglii na zachód od Gibraltaru, to znaczy tylko po Oceanie Atlantyckim. Natomiast okręty Francji i Anglii będą mogły bez trudu przeciąć włoskie komunikacje z położoną w Afryce Libią i Abisynią, dokąd już żadne posiłki z Włoch nie dotrą.

No i pamiętać trzeba, że samymi okrętami podwodnymi czy samolotami wojny wygrać nie można. Trzeba do tego panować na morzu. A panować na morzu będą wielkie pancerniki, w oparciu o które działać mogą dopiero siły lekkie i pływać mniej więcej bezpiecznie transporty. Same okręty podwodne zostałyby prędzej lub później potopione lub spędzone, bo przecież nie są one już taką niespodzianką, jak w r. 1914-tym i są na nie sposoby.

Wojnę wygra ten, kto dłużej wytrzyma, kto będzie silniejszy duchem i mocniejszy nerwami. Wszystko zaś przemawia za tym, że wytrzymają dłużej tak bogate w zasoby kraje, jak właśnie Anglia, Francja czy Ameryka.

W tej tak bardzo możliwej obecnie zbrojnej rozgrywce na morzach świata polska marynarka wojenna też odegra swą rolę. Jest jeszcze szczupła, za szczupła może, jak do naszych potrzeb... zbyt późno zaczęliśmy ją tworzyć, zmarnowawszy pierwsze lata, kiedy jeszcze zrozumienia tych rzeczy u nas nie było... Ale w oparciu o sprzymierzeńców i rozporządzając nawspanialszymi na Bałtyku w swoich typach okrętami — wspomoże i ona swoje wojsko. W każdym zaś razie wysiłek nad jej rozbudową wzmóc będziemy musieli, tak, aby Polska odgrywała na Bałtyku tak wielką rolę, jak Francja czy Włochy na Morzu Śródziemnym.

J. G.



MAPA MORZA ŚRODZIEMNEGO

Emigracja polska

Problem emigracji jest i pozostanie zapewne jeszcze przez wiele lat jednym z najbardziej żywotnych zagadnień Państwa Polskiego. Niewątpliwie bowiem głównym motorem wędrówek Polaków w poszukiwaniu za lepszymi warunkami bytu, chlebem i pracą — jest stały wysoki przyrost naturalny ludności w Polsce, wynoszący około 400 tysięcy ludzi rocznie. Znaczy to, że przybywa w Polsce jeden człowiek rocznie na kilometr kwadratowy.

Z powodu braku ziemi dla rosnących rzesz ludności płynęło szerokim strumieniem polskie wychodźtwo za granicę.

O rozmiarach tej emigracji polskiej daje nam pojęcie fakt, że w okresie pomiędzy rokiem 1871 a wybuchem wojny światowej w 1914 r., to jest w ciągu lat 43, wyjechało z Polski z górą 3 i pół miliona ludzi. Cyfra ta nabiera należytej wagi dopiero wtedy, gdy sobie zdamy sprawę, że jest to dokładnie połowa mieszkańców całej Małopolski, a półtora razy więcej, niż ludność dzisiejszej Litwy.

W chwili obecnej mieszka poza granicami Państwa Polskiego około 9 milionów Polaków. Dziewięć milionów! Cyfra ta mówi sama za siebie. Jest to właśnie tyle, co czwarta część całej ludności zamieszkującej ziemie Rzeczypospolitej.

Rozmieszczenie emigracji polskiej na świecie.

Emigrację polską możemy podzielić na dwie zasadnicze grupy: emigrację europejską i emigrację zamorską. Europejska liczy w chwili obecnej około 3 i pół milionów Polaków, zamorska zaś około 4 i pół miliona.

Zobaczmy teraz, jak się przedstawia rozmieszczenie tego wychodźtwa polskiego na świecie. Możemy powiedzieć, że poza Polakami zamieszkującymi zwartą masą obszary naszego pogranicza, a więc wschodnie ziemie niemieckie, Prusy Wschodnie, Litwę, Łotwę, Rosję Sowiecką, Rumunię i b. Czechosłowację, z której znaczna część naszych rodaków już przed kilku miesiącami wróciła do Polski wraz z ziemią, na której mieszkali — reszta Polaków zamieszkuje **trzy wielkie ośrodki polskiego osadnictwa.** Są to w Ameryce Północnej ziemie południowej Kanady oraz wschodnie i północne Stany Zjednoczone.

W Ameryce Południowej większość wychodźtwa polskiego grupuje się w południowych stanach Brazylii, w Paragwaju, Urugwaju i Argentynie.

Trzecie wielkie skupisko polskie obejmuje kraje europejskie: wschodnią i północną Francję, Belgię, Holandię i niemieckie prowincje nadreńskie.

Tu się skupili polscy robotnicy rolni, pracownicy wielkich zakładów przemysłowych, górnicy i w nieznacznej ilości osadnicy.

Po tym najogólniejszym przedstawieniu rozmieszczenia Polaków na świecie podam kilka cyfr, ilustrujących ilościowo te trzy wielkie skupiska polskie — Amerykę Północną zamieszkuje około 4 milionów Polaków, Amerykę Południową blisko 500 tysięcy. Wychodźtwo polskie skupiające się w trzecim wymienionym skupisku obliczamy mniej więcej na 500 tysięcy. Innych Polaków, zamieszkałych na ziemiach przyległych do granic Państwa Polskiego, jest około 3 milionów. Oczywiście, poza wymienionymi tu wielkimi centrami życia polskiego, żyje na kuli ziemskiej jeszcze bardzo wielu Polaków, rozrzuconych po wszystkich niemal kontynentach i wszystkich krajach świata.

Emigracja polska w okresie powojennym.

W latach poprzedzających wojnę światową, głównym celem naszej emigracji były Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Wyjechało do Stanów w ciągu 40 lat przed wojną światową około 2 miliony Polaków. Drugim ważnym w tym czasie krajem dla emigracji polskiej były Niemcy, dokąd wyjechało około 800 tysięcy Polaków.

W okresie powojennym zagadnienie wychodźtwa najzupełniej się zmieniło. Okres wolnej emigracji, w którym emigranta polskiego witano z otwartymi rękami gdzieś, za morzami, należy do przeszłości. Dla przykładu podaję, że gdy w pierwszych latach po wojnie w okresie od 1919 do 1925 roku, wyjechało z Polski do Stanów Zjednoczonych 215 tysięcy Polaków, to jest mniej więcej 35 tysięcy osób rocznie, to już w dwanaście lat później, w roku 1937, wyjechało do Stanów tylko 1.600 osób, co stanowi 20-tą część poprzedniej rocznej emigracji.

Przyczyny tego zmniejszenia się emigracji leżą w tym, że państwa, które dawniej potrzebowały rąk roboczych, robotników, rzemieślników, osadników rolnych, dzisiaj zamknęły się przed emigrantem polskim, gdyż rynek ich pracy nie wykazuje zapotrzebowania. Dlatego też wprowadziły one szereg utrudnień, żądając pewnej, niejednokrotnie dość znacznej sumy pieniężnej od każdego przyjeżdżającego, albo udzielają zezwolenia na wjazd tylko osobom mającym specjalne przeszkolenie fachowe, albo wreszcie w ogóle nie wpuszczają cudzoziemców, odmawiając im prawa pracy i zezwolenia na pobyt.

W tych warunkach, zagadnienie emigracji, jako środka zwalczającego przeludnienie, coraz więcej traci na znaczeniu. Na jego miejsce zaś wysuwa się inne zagadnienie — bez porównania skuteczniejsze — uzyskania własnych terenów kolonizacyjnych.

Polusy na ryglach

Autor dzieli się wrażeniami z podróży po Rugii. Jeden to z fragmentów jego książki, która p. t. „Od Winety do Gdyni" wyjdzie niebawem z druku.

Kiedy nocą błysk naszej morskiej latarni na Rozewiu ściele się po zachodniej linii widnokręgu, pomyślmy, że w przedłużeniu jego promieni, z tamtej strony horyzontu znajduje się świat niemniej bliski i drogi uczuciom każdego Polaka. Wszakże tam, na zachód prowadzi szlak wspomnień historycznych, łączących kiedyś pierwsze dzieje Polski z całym Pomorzem pod berłem naszych królów: Mieszka, Bolesława Chrobrego i Bolesława Krzywoustego.

Dzisiaj, cała ta zachodnia strona Pomorza, jak spojrzeć za błyskiem latarni z Rozewia — należy do Niemiec. Nie znaczy to jednak, abyśmy mieli o niej zapomnieć. I dziś łączą nas z zachodnią częścią Pomorza niemniej ważne myśli i związki życiowe. Wszakże pośród 1.500.000 Polaków, zamieszkujących obecnie w Niemczech, mnóstwo naszych rodaków żyje na ziemiach nadodrzańskich.

Nie brak ich też na Rugii, najpiękniejszej z wysp Morza Bałtyckiego. Spotykałem ich tu nieraz w ciągu mojej podróży. Co u nich słychać? Jak im się powodzi? Właśnie takie pytania zadawałem z ciekawości napotkanym rodakom.

Oto kilka obrazków, wyjętych z dnia powszedniego, z współczesnych nam czasów. Rugia, wyspa żyzna, okryta łanami zbóż, sławna z bogatych zbiorów buraków cukrowych i kartofli, potrzebuje wielu rąk do uprawy ziemi, jak i do gospodarskiego obrządku. Wielu Polaków znalazło tu pracę przy robotach w polu. A dodać trzeba, że w tej polskiej gromadzie nie brak i tzw. „forszncerów" czyli przodowników, włodarzy, kierujących robocizną na folwarkach. Na pewno dosłużyli się tego starszeństwa nie z protekcji, ale dzięki własnej, rzetelnej pracy w ciągu kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu lat.

— Dużo Polaków na Rugii! — rzekłem kiedyś w rozmowie.

— Hoho, cała to historia ludzka! — ozwał się na to jeden ze starych Polusów.

— Niechże mi ją pan opowie...

— Ano, naprzód było tak. Jeszcze w czasach wojny światowej, w latach niemieckiej inwazji, wielu naszych ludzi z Kongresówki sprowadzili tu Niemcy do uprawy ziemi. Z czasem przyszli inni z Polski — za chlebem, zwyczajnie, za zarobkiem. Kobiety i mężczyźni — też wszystko ludzie wsiowi. Wielu się w ten sposób pożeniło między sobą na wyspie, po katolicku, w polskim kościele, co go mamy w mieście Bergen, jak Pan Bóg przykazał. Z takich ożenków pochodzą teraz dorosłe dzieci, nieźle już pomocne w polu ojcom i matkom... A potem, jak potem. Do tej liczby doszlusowali — nowi. Głównie to „sezonowi", przybywający co roku z Polski za paszportem, na roboty, na okres żniw i zbiorów. Rzecz jasna, że każdy z naszych do swoich przede wszystkim ciągnie, bo wiadomo, że w gromadzie siła. Zwłaszcza na obczyźnie. Tak więc ciągle przybywa Polusów na Ryglach...

— To Rugię nazywacie: Rygle?

— A Rygle. Toć zewsząd wyspa w morzu stoi. I Polska od nas — za wielką ścianą wody. Tak my tu, po prawdzie, jakby na rygiel w chałupie zaparci. Spodobało się tak ludziom wyspę nazywać. Już to pewno lepsze, niż niemiecka nazwa: Rügen. Bo jak przeinaczyć, to juści pierwej przeinaczyć — po swojemu. Swoja to przecie kraina, prastara, słowiańska, każdy człek wie o tym...

Niejednokrotnie, przy takich rozmowach, miałem możność napatrzyć się do syta sprawności polskiej robocizny. Cóż to był za piękny widok, przejmujący zarówno podziwem, jak i dumą.

Jesienią to było, więc na szerokich, rozłożystych przestrzeniach odbywała się właśnie zbiórka kartofli. Całą służbę folwarczną widziałeś w polu, jak na dłoni. Kto żyw, stawał wtedy do pracy „na akord" — starzy i młodzi, chłopy i chłopaki, matki i dziewuchy. Obok Polaków, nie brakło tu oczywiście ludzi innych narodowości: Niemców, Czechów, Słowaków, Węgrów itp. Już garstka kilkunastu ludzi przypominała z różnojęzycznej mowy — biblijną wieżę Babel.

Na przegony, uwijały się ręce przy ziemi. Nad pochylonymi grzbietami, coraz to zamigotała czyjaś chustka babska, albo męska czapka, przekrzywiona na bakier. Coraz to nowe koszyki, pełne kartofli, stawiano na wagę. „Forsznicer" ważył, liczył koszyki i worki, i zapisywał na dobro ludzkie zarobek. Ani chybi, każdemu na jak największej zbiórce jednako zależało. Bez różnicy. Kto by to był. A jednak ta tyraliera zbieraczy przedstawiała linię łamaną. Na czoło wybijali się lepsi pracownicy, gorsi odstawali w tyle. I w tym rzecz właśnie. Bo sprawność rąk polskich w owym współzawodnictwie akordowym przodowała zawsze, jakby z zasady.

Już ten obrazek z życia mówi sam za siebie. Nie ma na świecie lepszych od Polaków pracowników na roli. Wartość rąk roboczych



naszego ludu, łączy się z jego świetnym znawstwem, jak i z wrodzonym talentem pracowniczym, ujawniającym się dopiero przy porównaniu ze zdolnościami innych, cudzoziemców. Wiemy już, że świadectwem wytrwałości chłopa polskiego stała się Brazylia, gdzie z toporem w rękach przyszło mu wyświetlać twarde puszcze pod uprawę poletek, wydobytych dla pługa. W Niemczech, jak i tu na Rugii, ta sama powieść o tężyźnie, sprawności i talentach polskiej robocizny, ma swoją mniej znaną wymowę, wcale jednak znamienną. Dopiero tu widać, patrząc na porównawcze przykłady, co znaczy miłość i przywiązanie Polaka do uprawy ziemi.

Daleko Niemcom do tych własności polskiej krzepy. Z natury, lud niemiecki nie odznacza się zbyt wielkim pociągiem do gospodarki rolnej. Jego pociąg do ziemi jest znacznie mniejszy, a w każdym razie nie tak serdeczny, znawczy i wydajny, jak u nas w kraju wśród ludu. Nie bez powodu sam kanclerz Hitler w swojej mowie, wygłoszonej w Norymberdze w ub. r., wyznał m. in. jawnie: „Niemcy mają w istocie dwie troski gospodarcze: brak robotników w ogóle, a w szczególności — specjalistów, tak w przemyśle, jak i na roli".

Dobrze to trzeba rozważyć w naszej pamięci, gdyż rodziny polskie, opuszczając swoje wioski „na ślepo", z jedynym celem szukania zarobku, pracy i chleba na tzw. „Saksach", dopiero po niewczasie, doświadczywszy wyzysku obcych chlebodawców, dowiadują się, jak mało w oczach własnych oceniali siebie i swoją pracę, znosząc nieraz przy tym w cichości najbardziej bolesną, najzupełniej niesprawiedliwą poniewierkę polskim społeczeństwem i polską godnością. Toż mało to razy, w zamian za wdzięczność, za dobro swej rzetelnej pracy i zasługi na zagonie, słyszeli Polacy w Niemczech nędzne obelgi, wymyślania i poniewierania.

Czy wylewać tu na papier skargi z tego powodu? Czy piętnować całą niegodziwość i fałszywą nikczemność tej zniewagi? Lepiej w odpowiedzi przytoczyć z życia prawdziwy obrazek, który w właściwym świetle przedstawi, po czyjej stronie sprawiedliwość.

Przypominam sobie pewnego Polusa, którego spotkałem kiedyś, wędrując po Rugii. Miał prawą rękę na temblaku.

— Co wam?

— To od korby elewatora.

Usiedliśmy w polu na kamieniu. Chłop się zaraz rozgadał:

— Przy stogu to było. Przy młócce. Człek miał ręce pełne roboty. A tu nagle — trach! Zamroczyło mnie od bólu w ramieniu. Ale na chwilę. Macam — muskuł mi opadł poniżej łokcia. Zaraz-em go podciągnął do góry, trzymam w garści i patrzę... Ludzie się zbiegli, i dalej żalić się nade mną. „Stulcie gęby!" — wrzasłem na to z gniewu: „Komu rękę przetrąciło — mnie, czy wam? Ja jeden mam tu prawo krzyczeć, i krzyczę jedno: Kto tę korbę puścił? Kto?"... Ludzie się rozstąpili. Rychtyg, zaraz się wydało. Żaden z naszych! Żaden z naszych by tak bez pojęcia nie zrobił. Niemiec to był, parobas, oferma! „A ty pludrze!" — mówię, i dalej do niego. „Ty dziadu, ty przygłupku-salomonie, pójdziesz ty mi z pola precz!". Chciałem go bić, ale nie było czym, i jak... Baba mnie za szyję chyciła. I tak-em to przez tę niemiecką cholerę, na dobre dwa miesiące stracił prawą rękę, żywicielkę...

— A pan wasz na folwarku co na to?

— Nie pozwolił mi ręki skrócić w szpitalu. Dobry człowiek. „Nie dam cię zniszczyć!" — powiadał. Coraz to do mnie do szpitala do Bergu (Bergen) samochodem przyjeżdżał. „Jakże ja się bez ciebie obejdę!" — mówił. — „Musisz być zdrów!". Prawdziwie, Pan Bóg dał — ozdrowiałem. Jeszcze mi tyle nie pomogło po operacji, jak dopiero wtedy, gdy mi mój pan któregoś dnia powiedział: „A wiesz

co? Tego parobasa, co ci rękę korbą przetrącił, wyrzuciłem z folwarku. Skaranie boskie. jak e nasze niemieckie parobki nie umieją w polu pracować! Za darmo im płać, jeszcze się z panami biją"...

Jest to opowieść, którą co do słowa wiernie z prawdą przytaczam. I ten obrazek sam mówi za siebie bez snucia dalszych wniosków, jak cenny i wartościowy jest Polus na Ryglach.

Albo inny obrazek. Tym razem, prosto z gazety. Ilustruje on współczesność niemiecką.

— Cóż to wam? — spytałem jakiegoś wąsala, który sapiąc, jak miech kowalski, miętosił w garści niemieckie czasopismo pod nazwą „Der Arbeitsmann".

— Patrz pan!

Przetarłem oczy. Na całej stronnicy gazety widniał niemiecki artykuł pt. „My widzimy tylko czarno". Był to bezprzykładny, bezczelny atak na kult naszej Matki Boskiej Częstochowskiej.

Nie dziw, że wśród Polaków w Niemczech aż zawrzało. Zaraz posypały się liczne protesty. Związek Polaków w Niemczech odezwał się jednym stanowczym głosem: — Świętości naszych szargać nie pozwolimy! I co? Czasopismo niemieckie musiało niebawem odwołać to co napisało. Ale nic tak nie plami dzisiaj, jak farba drukarska.

Jeszcze inny obrazek z Rugii, prosto z życia.

— Napijemy się piwa? Niech pan pozwoli, mam do pana ważną sprawkę.

Z tymi słowami zwrócił się do mnie pewien leciwy mężczyzna, śmiesznie mrugający powiekami. Siedzieliśmy po zebraniu niedzielnym, w restauracji.

— O co panu chodzi?

— Trzydzieści dwa lata w Niemczech pracuję. A jak się tyle lat napracowało, to się zebrało i trochę pieniędzy — no nie? I cosiś trzeba z nimi zrobić — no nie? Chciałbym posłać do Polski. Ale nie pozwalają. Nie wolno. Przecież tu nie zostanę. W Polsce chcę kupić chałupę i grunt — dla dzieci.

— Dużo ich macie?

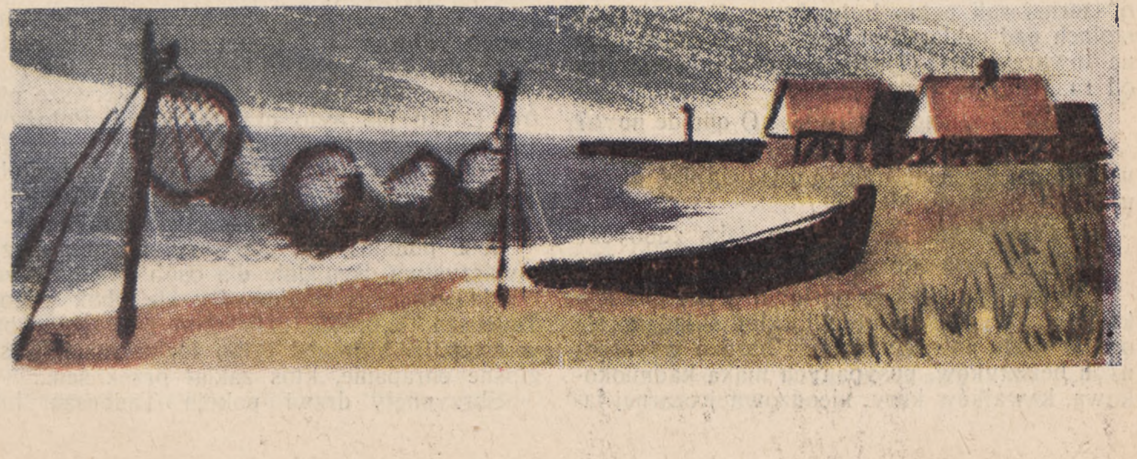
— Trzech. Synów. W Polsce są. Wysłałem ich dawno. Jeden, przyjeżdża do mnie czasem na sezonowe roboty. Drugi nie przyjeżdża, bo się we wsi ożenił. A trzeci, najmłodszy, uczy się — w gimnazji. Toć człek tylko dla tych dzieci haruje. I tylko dlatego, aby jeszcze lat parę i samemu do nich do Polski powrócić. Inaczej być przecie nie może...

Zaimponował mi ten człowiek. To nic, że wyglądał pociesznie z tą zezowatą gałką oczna pod mrugającymi powiekami. To był naprawdę Polak całą duszą. Przykro mi było, żem mu nie mógł wiele poradzić...

Dużo takich wspomnień zawdzięczam dzisiejszej Rugii. Polskość na tej wyspie ma swój serdeczny, prawdziwie głęboki wyraz. Ileż to razy o szarówce wieczornej, prowadziliśmy długie, wspólne rozmowy o rodzinnym kraju, i ciągle w kółko o naszej ojczyźnie. Pamiętam, jak na progu folwarcznych baraków przysiadywały się do tej pogwarki starsze kobiety. Ich córki śpiewały przy nich polskie piosenki. A śpiewały nieraz tak pięknie, jak ta Helka i Janka, które chwaliły się, że dopiero co wróciły z Polski, z obozu letniskowego w Zaniemyślu, urządzonego dla dzieci polskich wychodźców z Niemiec.

Na niebie zapalały się tymczasem gwiazdy. Szarą smugą ciągnął się gościniec pośród drzew i ginął w oddali, u wyspiarskich brzegów, podjęty w dalszym ciągu przez srebrne fale, które niosły go na wschód — do dzisiejszej Gdyni.

— A niech pan tam w Polsce pozdrowi lasy, góry i rzeki! — powiedziała mi kiedyś na pożegnanie najzwyklejsza, brzydka, dziobata dziewczyna, pracująca na dobitkę przy parują-



cym nawozie. Oparta na widłach, wyrzekła przy tym coś nadspodziewanie pięknego, czego nigdy nie przypuszczałbym, patrząc w jej twarz o grubych, zwykłych, nieurodziwych rysach:

— Ciekawam, czy też tam na ojcowej chacie we wsi już puste gniazdo bocianie! I czy jaskółki już odleciały! Jak pan myśli — nie wie pan?...

Janusz Stępowski

Łowca żmij

Brazylia — kraj, w którym przebywa wielu naszych rodaków, ma zupełnie inny charakter niż nasz kraj. Są tam specjalne zajęcia i źródła zarobku, o jakich się u nas nie słyszy. Poniżej podajemy charakterystyczne opowiadanie jednego z naszych rodaków, dłuższy czas mieszkającego w Brazylii.

Stacja kolejowa Laranjeiras na linii Paranagua — Kurytyba niczym specjalnym nie różni się od całej masy innych przystanków na parańskich kolejach. Wszędzie takie same drewniane, zbite z calowych desek budynki kolejowe, ta sama różnokolorowa publiczność, jednakowo smakuje tu gorzkawe cafesinho (kawa).

Jednak na tej stacji w czasie postoju pociągu pili kawę tylko ci z pasażerów, którzy nie wiedzieli, że tuż obok miasteczka mieści się słynne leprosorium (miejsce odosobnienia dla chorych na trąd). Może z tych samych filiżaneczek pił któryś z przywożonych tu nieszczęśliwców. Może ta piękna mulatka nosi też w sobie rozkładające ciało zarazki trądu... Tymczasem dziewczyna z wesołym uśmiechem nalewa nieświadomym coraz to nowe porcje kawy.

Z wagonu drugiej klasy, najtańszego o twardych ławkach i niewybrednym towarzystwie wykolejeńców i poszukiwaczy przygód wyszedł samotny pasażer. Oddawszy przy drzwiach „dworca" bilet, zarzucił na plecy worek podróżny i skierował się szerokim traktem ku zieleniejącej w oddali, otoczonej licznymi eukaliptusami, vendzie. Mimo otwartych okien, w obszernej sali pełno było dymu. Przy dużych stołach nad szklankami z wódką siedziało liczne towarzystwo. Oparty o kontuar vendziarz od razu poznał wchodzącego.

— Como vai, senhor Tadeo! O que de novo?

— Dzień dobry! U mnie nic nowego. Byłem w Cauba. Straszna tam gorączka, nie to, co u nas za Serro do Mar.

— Przywieźliście, senhorze, jaką zdobycz?

— Mam parę skórek i dwa dobre okazy.

Tymczasem służący postawił przed gościem kolację. Zwyczajem brazylijskim składała się ona w wielu potraw: małych, bardzo wysuszonych befsztyków, posypanych mąką kadmiokokową, kawałków kury, nieodzownej czarnej fasoli i ugotowanego na sypko ryżu. Ostre, nasycone octem strączki fasoli szparagowej i gorzkawe ziele błotne „agrion", miały łagodzić mdły smak zjełczałego tłuszczu.

— Senhor życzy sobie piwa, czy wódki?

— Proszę zaparzyć kawy, tej lepszej.

Samotny i nie pijący podróżny zwrócił na siebie uwagę dobrze podchmielonych biesiadników, którzy zabawiali się wesołym odpoczynkiem przy stole.

— Poczęstować go wódką? — zaproponował któryś — siedzi jak mnich...

— Zaczynać z nim nie warto. Nie znasz go? Zastrzelił rudego Manuela...

— To ten? Mam go nareszcie!

— Choć jesteś jakimś tam krewnym nieboszczyka, radzę ci daj pokój. Zresztą wszyscy wiedzą, że wtedy Manuel był winien, on przecież zaczął awanturę. Napij się jeszcze, Jose i patrz w inną stronę, bo diabeł nie śpi...

Dobrze już pijany Jose dalej obserwował przybysza, a w oczach jego migotały złe błyski. Drgnął, gdy zobaczył w jego ręku garść banknotów. Gospodarz oddawał właśnie Tadeuszowi resztę.

— Senhor zostanie na noc? Droga daleka. Koń wypocznie dobrze, można więc będzie jechać przez cały dzień bez przerwy.

— Zgoda! Prześpię się u was. W Cauba noce duszne, oka nie mogłem zmrużyć. Kolei też nie lubię.

— Senhor Tadeo nigdy nie weźmie pierwszej klasy! Z kabokładą i negrami w drugiej niezbyt wygodnie.

— Zna pan przysłowie: „każdy ma w domu swego świerszcza"? Boa noite! — Boa noite!

Odprowadzony wzrokiem zupełnie już pijanego Jose, udał się podróżny na pierwsze piętro. Łóżko już było przygotowane. Położywszy pod poduszkę rewolwer, zasnął.

Pijące w vendzie towarzystwo siedziałoby do rana, gdyby nie interwencja gospodarza:

— Panowie, idźcie spać, świt niedaleko!

Jose podniósł się pierwszy, za nim reszta towarzystwa. Sypialnie dla osób pojedyńczych i jedna wspólna znajdowały się obok pokoju Tadeusza. Wkrótce cały dom pogrążony był w ciszy. Z któregoś tylko łóżka rozległo się głośne chrapanie, ktoś zaklął przez sen...

Skrzypnęły drzwi pokoju Tadeusza. Ins-

tynkt, niezawodny towarzysz leśnych włóczęgów, kazał mu otworzyć oczy: wyczuł w pobliżu oddech, w pewnej chwili przyzwyczajone do ciemności oczy zaalarmowały mózg sylwetką skradającego się człowieka. Błysnął nóż. Powolnym, cichym ruchem Tadeusz sięgnął po colta i czekał...

Był to Jose. Postanowił pomścić śmierć krewniaka. Idąc do łóżka zobaczył leżący na stole worek podróżny. Stanęły mu przed oczami szeleszczące banknoty. Zapomniawszy o zemście sięgnął chciwie po worek i szybko zaczął rozwiązywać nieskomplikowany węzeł. Nagle dał się słyszeć przeraźliwy krzyk:

— Ratunku! Cobra! Ludzie, ratunku!

Cały dom zerwał się na nogi. Wkrótce zjawił się na górze gospodarz ze światłem. — Śmiertelnie blady Jose trzymał rękę w worku, z którego wyzwalał się wąż. Owinąwszy rękę, sięgał coraz wyżej zbliżając się do twarzy.

Vendziarz i jego towarzysze sami zamarli z przerażenia.

— Nie bójcie się! Grzechotnik ma wyrwane zęby. Tobie zacny kompanie, radzę zabierać się najpierw do człowieka, potem sięgać po jego bagaże. I uważaj, przyjacielu, zawartość worków bywa czasami żywa i...

— Senhor każe zawołać delegata policji?

— Nie trzeba — rzucił niedbale właściciel żmii. — Idźcie panowie spać, ja tymczasem zwolnię mego więźnia. Spokojnie odwinął węża z ręki Josego, który chyłkiem wymknął się z pokoju.

Po godzinie znów wszyscy spali w pokojach gościnnych. Pewny, że nic mu nie grozi, odwrócił się Tadeusz na drugi bok. Grzechotnik zwinąwszy się w kłębek zapadł w drzemkę, śniąc o tłustych żabach, które właśnie odezwały się w okolicznych bajorkach. Zbliżał się ranek.

Wacław Kulesza

Fata morgana

Jednym z ciekawych zjawisk, spotykanych na morzach i w dalekich pustyniach, rozpalonych przez słońce, jest t. zw. „fata morgana". Polega ono na tym, że w pewnej chwili oczom ludzkim ukazuje się jakiś wyraźny obraz, który jest tylko złudzeniem. Zjawisko to powstaje na skutek załamywania się światła w warstwach powietrza.

Tęgi nasz szkuner „Maria" sunął spokojnie ostrym kursem na tuniską Bizertę. Tuż zaraz po „psiej" wachcie jęliśmy się zwlekać w stronę kubryku. Gruby arabski sternik chwycił lekko za ramię statkowego chłopca i pupila zarazem i popchnął go do trapu. Ruszyliśmy i my całą „zmianą" wolno za nimi. W kubryku jeszcze mrok panował. Tak jak i w nocy kopciła swędem mała, oliwna lampeczka. Od kuchni rozchodziło się wokół nieznośne gorąco. W kojach wszyscy spali, jeno kucharz siedział przy samym piecu na przewróconym do góry dnem koszu. Popijał kawę. Dziwne, jak ten kucharz mógł znosić kuchenne gorąco!

— Dajno kawy! — rozkazał sternik, podsuwając głeboką miseczkę.

Kucharz leniwie podniósł się z kosza, nalał powoli z miedzianego, wysokiego naczynia. Po kubryku natychmiast rozszedł się mocny aromat.

— A wy nie? — spojrzał sternik w naszą stronę.

Szturknąłem znacząco chłopca. Mały zerwał się, poskoczył migiem do półki. Wnet rozległy się miarowe siorpania. Istotnie można się było delektować, bo kawa w kubryku była doskonała. Po trzeciej, czy czwartej kolejce sternik powstał z ławy, chlusnął resztą napoju o ziemię, podciągnął spodnie do góry, rozprostował sennie ramiona, niemal od ściany do ściany.

— Duszność! — mruknął, — trzeba spojrzeć co tam w górze, — ruszył. Wywlokłem się i ja. Po chwili zjawił się też i chłopak. Było już po wschodzie. Olbrzymia krwista tarcza słońca wytoczyła się dolną krawędzią ponad wodę. Po morzu, po całym niebie, po stalowym osprzęcie, po powietrzu niemal, płynęła szczodra czerwień. W samą wschodnią stronę morza nie sposób było patrzyć, tak mocnym żarem barw płonęło.

— Idziemy pod bukszpryt* — mruknął pod nosem sternik.

Ruszyliśmy. Chłopak siadł okrakiem na kabestanie**). Sternik legł bokiem na samym dziobie statku. W milczeniu lubowaliśmy się cudem pysznego wschodu. Nagle chłopiec poruszył się, szybko wyskoczył na głowicę kabestanu i chwiejąc się dla utrzymania równowagi wypatrywał czegoś hen w morskich dalekościach.

— Patrzcie!... patrzcie no! — szepnął z przejęciem — patrzcie tam... na niebo... patrzcie!

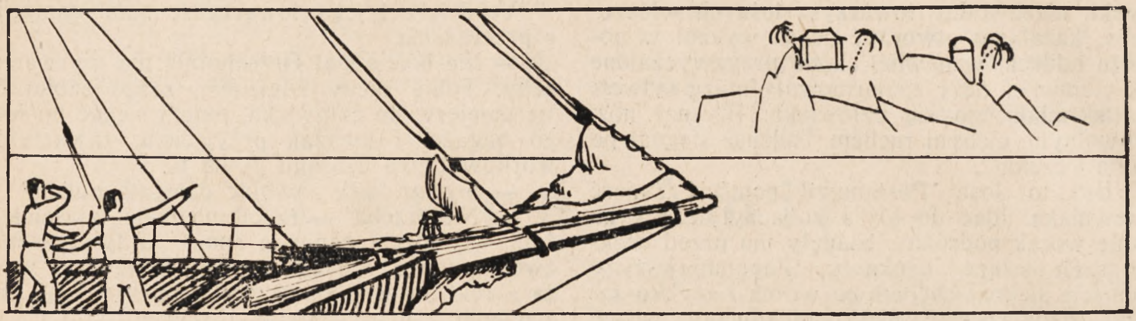
Sternik zrazu podniósł się, potem wstał. Spojrzał i rozpromieniła mu się twarz.

— To Ałłach zsyła naszym oczom oblicze lądu zanim jeszcze naprawdę możnaby go zobaczyć.

---

*) Bukszpryt — pochyłe drzewce na dziobie żaglowca.

**) Kabestan — winda na dziobie statku, służąca do wyciągania kotwicy.



— Fata Morgana! — przeszło mi błyskiem przez myśl. Boć przecież istotnie nie był to ląd, o nie! W tej stronie do lądu było ze sto mil, albo i więcej.

Zapatrzyliśmy się w owo przedziwne zjawisko w niemym podziwie. A było naprawdę nad czym się zachwycać. Oto wysoko ponad kresą widnokręgu rozsnuł się skrawek pobrzeża. Ot tak, z drobnymi szczegółami: białe domki na skałach, otulone wiechciami palm, a dalej jakoweś strome wąwozy między wyniosłymi garbami wzgórz. Lecz nie w tym była owa urzekająca cudowność, jeno w nadzwyczajnej powiewności zjawy. Czuło się poprostu, że to wszystko płynie, jako jedno wielkie tchnienie, że przesycone jest całe powietrzem, że jest nieuchwytne, że przepadnie za byle wiatrowym oddechem. Jakoż istotnie wnet od samego środka poczęło wszystko blaknąć, rozpływać się na wszystkie strony i jak z nagła powstało, tak z nagła zanikało. Słońce też od razu jęło grzać całą swoją dzienną mocą. A sternik, chłopak i ja staliśmy wpatrzeni w miejsce na niebie, gdzie ukazało się cudowne odbicie lądu. Ale już więcej się nie pojawiło, więc tylko sternik podrapał się w głowę i cmokał bez przerwy nad potężną mocą Allacha. Dopiero kiedy słońce przygrzało mocniej w plecy i kiedy krople potu poczęły występować na czoło, sternik poruszył się i zaciągnął nos w cień za żagle.

B. Domaniewski

Od granicy wschodniej do zachodniej

Jeżeli nie zdecydowaliśmy się na wyjazd do stratosfery, to tylko dlatego, że tam nie można było dopłynąć łodziami. Możemy zignorować wszelkie inne środki komunikacji. Nasze Szkolne Koło LMK, bliższy adres: Poznań gimn. im. Bergera, posiada własny tabor żeglarski stacjonujący na jeziorze w Kiekrzu, złożony z jednej olimpijki, jednej łodzi klasowej klasy „S“ o powierzchni żagla 10 m kw., z jednej piątki oraz dwóch dziesiątek. W dyskusji nad wyborem trasy przeszedł projekt opiekuna naszego Koła LMK p. doc. dr. Wład. Kowalenki. Wycieczka się odbędzie pod hasłem „Od granicy wschodniej do zachodniej“. Stołpce jako punkt wypadowy, potem trasa prowadzić ma przez Grodno, Augustów, Łomżę, Płock, Toruń, Bydgoszcz, Kruszwicę, Konin, Poznań — meta w Międzychodzie. Decyzja zapadła. Odtąd po odwaleniu lekcyj, godzinami studiowaliśmy mapy sztabowe (skala 1:100 000), przerysowywano trasę na 67 mapkach, opracowywano tło historyczne i gospodarcze krain trasy. Już na podstawie tych przygotowań wiedzieliśmy, że trasa będzie wyjątkowo ładna

Tabor stanowiły 4 łodzie: dwie dziesiątki, jedna dziesiątka klasy S, oraz prywatna własność jednego z uczestników, jedna dwunastka.

Wśród rozlicznych sloganów, jakie się powszechnie przyjęły, jeden z najbardziej obecnie znanych jest: grunt to forsa. Zaczęły się wstępne wiercenia i niczem złotodajna ropa naftowa — mamona wytrysnęła dla nas z następujących źródeł:

1. Z opłat uczestników	709.10
2. Koło Rodz. n/gimn.	300.00
3. Kuratorium Okr. Szk.	200.00
4. LMK W-wa Zarz. Gł.	150.00
5. LMK Berger Koło gmn.	200.00
6. Dr. Prof. Kowalenko	24.90
7. P. Inż. Urbaniak	30.00
8. Różnice z rach. i zwroty	53.10
razem	zł.1.667.10

Załogę stanowiła szczęśliwa trzynastka, w tym 11 uczniów gimnazjum. Komendant wycieczki, student rolnictwa Tad. Grzeczyński, ab-

solwent gimnazjum, oraz dobry duch wycieczki dr. Kowalenko, któremu należy się za tę wycieczkę specjalne podziękowanie. Łodzie wyekspediowano do Stołpców zaraz po regatach tj. 18 czerwca. Wycieczka zaczęła się dnia 3 lipca 1938 r. Dnia tego wyjechało z Poznania do Stołpców 11 uczestników: 9 ucz., komendant i docent, dwaj uczniowie przyłączyli się do nas w Grodnie, dokąd przyjechali z Rozewia, gdzie byli na obozie P. W.

Stołpce. Prasa często pisze, że dla przyjeżdżających z Rosji podróżnych, bez względu na to, czy to są dyplomaci, artyści, uczeni, czy zwvkli śmiertelnicy, dla nich wszystkich tu na wspaniałym, czystym, dobrze zaaprowidowanym dworcu w Stołpcach, zaczyna się prawdziwa Europa. Z konieczności krótki musiał być nasz pobyt w Stołpcach, serdecznie pożegnani przez starostę p. W. Kowalskiego, dnia 6 lipca rozpoczęliśmy wodną wędrówkę. Pierwszy przystanek, po przepłynięciu 400 klm. w dziewięć dni, wypadł w Grodnie, gdzie gościnny miejscowy oddział LMK szeroko rozwarł swe ramiona na nasze przyjęcie. LMK to signum temporis, to jeden z dowodów nowoczesności w jakiej żyjemy: dawniej tego nie było. Nie samą nowoczesnością żyje Grodno. Oto dom. gdzie w r. 1586 umarł Batory. Jako wielki protektor Jezuitów postawił im król w Grodnie kościół, zadecydował, że tu będzie jego grobowiec, bo mi to miejsce „i do czasowego zamieszkania i do wiecznego spoczynku najm lsze"

Grodno szczyci się, że tu urodzili się ludzie tej miary, co malarz January Suchodolski, fizyk Zygmunt Wróblewski i chemik Edward Wróblewski. Dumą i sławą Grodna była Eliza Orzeszkowa. Na długo przed jej urodzeniem stała tu karczma zwana Rozkoszą, potem była ulica tej nazwy, z czasem przemianowana na Murawiewską, od niesławnej pamięci Murawiewa - wieszatiela. Teraz ulica ta ma już nową nazwę, która na pewno pozostanie. Nazywa się ul. Elizy Orzeszkowej; stoi tam skromny domek, którym się troskliwie miasto opiekuje. W nim mieszkała sławna pisarka.

I tak się zaczęła nasza włóczęga wodna, od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka. Przemierzyliśmy 1650 km w ciągu 52 dni; w tym podróży przypadało średnio 41 km nie licząc dni odpoczynku. Zupełnie obiektywnie oceniając wyniki, jest to szybkość b. duża, b. dobra, zwłaszcza gdy się weźmie pod uwagę ciężkie warunki w jakich płynęliśmy.

Płynęliśmy pod żaglami, płynęliśmy na wiosła, ciężko jest ciągnąć łodzie żaglowe na wiosła. holowały nas szkuty na Kanale Bydgoskim, holowaliśmy sami nasze łodzie na Kanale Augustowskim, Biebrzy i kanale górnej Noteci, nawet przewoziliśmy nasze łodzie z końca jeziora Gopła do Ślesina.

Dzieje naszej podróży upamiętniło 150 fotografij. Wielką było dla nas radością zdobycie II-giej nagrody — namiotu na 2 do 3 osób na wodnym konkursie turystycznym Ilustracji Polskiej w Poznaniu.

Dla mnie rewelacją było poznanie polskiego miasta prowincjonalnego i możliwie dokładna, w czasie wędrówki, ocena warunków ramowych, jakie daje to miasto współczesnemu inteligentowi polskiemu. Biorę dla przykładu mały, ślicznie położony na Tumskich górach nad Wisłą — Płock. W Płocku człowiek nastawiony sportowo: frontem do wody, ma przyzwoicie urządzoną przystań, klub; może się wyszaleć na Wiśle. Ci, którzy coś mają w zakresie sztuki do powiedzenia, zbierają się w kawiarni, w klubie K.A.P.; klub ten robi dużo ruchu w mieście. Dawność reprezentuje tam katedra z grobowcami Wład. Hermana i Bolesława Krzywoustego. Współczesność — zmieniającą miasto wciąż na korzyść, charakteryzują takie nawet drobiazgi jak: uporządkowanie skarp Tumskich gór, przez aleje, kręte ścieżki, przyzwoite wejścia, jak na kopiec; postawienie obok katedry wieży zegarowej, skąd hejnał odzywa się 3 razy dziennie . Wszystko to zmiany z ostatnich czasów, nawet z r. 1938. Największą radością Płocczan jest most kolejowy na Wiśle, Płock — Radziwie poświęcony w listopadzie r. ub.; sprzyja on rozwojowi miasta. Z całej naszej wyprawy przywiozłem przede wszystkim dwie zdobyczee — nie mówiąc już o samej przyjemności wędrówki po wodach. Polubiłem kresy wschodnie za serdeczną tkliwość ludzi stamtąd, którzy z królewską hojnością obdarowują nią każdego, nawet podróżnych, którzy w niczym zrewanżować im się nie są w stanie. Zrozumiałem, że niepodległość Polski obudziła prowincję z martwoty, że w małych miasteczkach, zdala od stolicy, zdala od centrów uniwersyteckich można żyć i czuć się człowiekiem.

I to coś warte.

Cz. Żagiel

Nasze stosunki gospodarcze z Rumunią

Rumunia bezsprzecznie jest najlepszym Polski sąsiadem. Wszystko nas z nią łączy, a nic nie dzieli. Ze względu na bardzo dogodne położenie, sąsiedztwo to dla obu krajów jest nadzwyczaj korzystne.

Jak wiadomo, Polska i Rumunia leżą między morzami — Bałtyckim i Czarnym, dzięki temu Polska ma przez Rumunię dostęp do Morza Czarnego, a Rumunia przez Polskę do Bałtyku. Uwidocznia to podana w poprzednim numerze „Polski na Morzu", mapka, na której został zaznaczony czerwoną barwą projekt kanału, który będzie stanowił najkrótszą drogę wodną między Bałtykiem i Morzem Czarnym. Obecnie na tym szlaku istnieje najkrótsze między wspomnianymi morzami połączenie kolejowe.

Dla Polski dostęp do portów rumuńskich na Morzu Czarnym ma wielkie znaczenie. Wywożąc towary do krajów południowych, wysyłamy je najkrótszą drogą kolejową przez Rnmunię do Morza Czarnego i dalej okrętami w świat daleki, zaoszczędzając na czasie i kosztach przewozu. To samo się tyczy przywozu z krajów południowych. Z czasem zaś, gdy zostanie zbudowany będący dziś w projekcie kanał wodny, koszta przewozu towarów na południe będą jeszcze niższe.

Rumunia jest krajem dużym, ludnym i przez Boga dobrze wyposażonym. Zajmuje ona obszar 295 tysięcy kilometrów kwadratowych, podczas gdy Polska liczy 390 tys. klm. kwadratowych, czyli o trzecią część więcej. Ludności Rumunia ma powyżej 19 milionów, Polska zaś 35 milionów. W Polsce na kilometr kwadratowy przypada średnio blisko 90 mieszkańców, a w Rumunii — 65 mieszkańców.

Rumunia ma łagodny, ciepły klimat, bardzo żyzne gleby oraz znaczne bogactwa naturalne, a przede wszystkim obfite złoża ropy naftowej, o wiele obfitsze niż nasze.

Gruntów ornych Rumunia liczy blisko 14 milionów hektarów oraz łąk i pastwisk — niespełna 4 mil. ha. Razem powierzchnia użytków rolnych w tym kraju wynosi 17 milionów 720 tys. ha. w Polsce zaś użytków rolnych mamy około 25 milionów hektarów. Lasów Rumnia posiada przeszło 6 mil. ha. Polska zaś — powyżej 8 mil. ha.

Głównymi ziemiopłodami uprawnymi w Rumunii są: **kukurydza i pszenica.** Dwa te zboża zajmują blisko 9 mil ha czyli około dwóch trzecich części powierzchni ornej. Jęczmień zajmuje przeszło 1 i pół miliona ha i owies — 800 tys. ha, a poza tym uprawia się słonecznik, konopie oraz szereg innych roślin, lecz w niewielkich stosunkowo rozmiarach. Ważną gałęzią wytwórczości w Rumunii jest uprawa winorośli i produkcja wina, mająca poważne widoki rozwoju.

Rumunia jest krajem wybitnie rolniczym. Uprzemysłowiona jest o wiele słabiej niż Polska. W miastach rumuńskich liczących ponad 5 tysięcy mieszkańców zamieszkuje niespełna 6 procent ludności kraju.

Ustrój rolny w Rumunii pozostawia wiele do życzenia, do czego w dużej mierze przyczyniła się wadliwie przeprowadzona reforma rolna. Chcąc jak najwięcej ludności wiejskiej obdzielić ziemią, przy parcelacji gruntów folwarcznych tworzono zbyt małe działki, nie troszcząc się zbytnio o możliwości ich zagospodarowania. Przeciętna powierzchnia działek gruntu z parcelacji wahała się około 2 i pół hektara, a za tym od razu tworzono gospodarstwa karłowate. Mimo to pozostało przeszło 600 tysięcy bezrolnych, dla których ziemi nie wystarczyło.

Wadliwie przeprowadzona reforma rolna spowodowała szereg ujemnych następstw, a w szczególności: nadmierne rozdrobnienie ziemi, niedostateczne zagospodarowanie wielu nowych warsztatów rolnych i co za tym idzie — dotkliwy spadek produkcji zbożowej i hodowlanej.

Ostatnimi czasy, dzięki wieloletnim pracom oświatowym, produkcja rolnicza w Rumunii poważnie wzrosła, lecz mimo to wciąż jeszcze pozostaje na bardzo niskim poziomie. Przeciętne plony kukurydzy nie dosięgają 12 kwintali z ha a pszenicy i jęczmienia — zaledwie około 10 kwintali. Są to więc plony b. niskie, znacznie niższe aniżeli w Polsce. Przy umiejętnej gospodarce rolnicy rumuńscy na swych żyznych ziemiach mogliby osiągać plony dwukrotnie wyższe.

W porównaniu z Polską chów zwierząt gospodarskich w Rumunii jest znacznie słabiej rozwinięty. Koni Rumunia liczy nieco ponad 2 miliony sztuk, bydła — niespełna 4 i pół mil. sztuk, trzody chlewnej — niecałe 3 miliony i owiec — blisko 12 milionów sztuk. Licząc na 100 ha użytków rolnych, w Rumunii przypadają następujące ilości zwierząt. (Liczby dotyczące Polski podajemy w nawiasach): koni — 12 (15), bydła — 24 (41), trzody chlewnej — 16 (30), owiec — 65 (12) sztuk.

Z tego zestawienia wynika, że Rumunia jedynie chów owiec ma o wiele silniej rozwinięty niż Polska, natomiast liczebność bydła i trzody chlewnej w Rumunii przedstawia się dosyć słabo, a wydajność zwierząt gospodarskich jeszcze gorzej.

Z produktów pochodzenia rolniczego poważniejszą rolę w wywozie rumuńskim odgrywa głównie zboże, a ściśle biorąc — kukurydza i pszenica. W latach od 1926 do 1935 roku wywożono rocznie blisko 10 milionów kwintali kukurydzy oraz 2 i pół mil. kwintali pszenicy. Wywóz produktów pochodzenia zwierzęcego, który w Polsce przybiera coraz większe rozmiary, w Rumunii dotychczas nie odgrywa znaczniejszej roli.

Handel między Polską i Rumunią dosyć pomyślnie rozwijający się przed 10 laty, następnie w okresie kryzysu oraz w ostatnich latach pokryzysowych dotkliwie osłabł nie wykazując na razie wydatniejszej poprawy. W roku 1928 za przywożone z Rumunii towary zapłaciliśmy 38 mil. zł, a za wywożone do tego kraju towary uzyskaliśmy 54 mil. złotych. W roku zeszłym natomiast nasz przywóz z Rumunii wyniósł nieco ponad 10 mil. zł, a wywóz do Rumunii przyniósł ogółem 8 milionów złotych. W porównaniu więc z rokiem 1928-ym — nasz wywóz do Rumunii spadł do niespełna siódmej części czyli do 15 procent.

Wywozimy do Rumunii rozmaite wytwory przemysłu, głównie zaś żelazo, stal, cynk, rury żelazne, maszyny, wytwory pochodzenia mineralnego, a także skóry i wyroby skórzane oraz szereg innych to-

warów, lecz w ilościach nieznacznych. Przywozimy z Rumunii natomiast głównie produkty pochodzenia roślinnego, skóry owcze na kożuchy, rudy i owce.

Dość słaba wymiana towarowa między Polską i Rumunią ostatnimi laty, nie wyczerpuje przecież istniejących w tym względzie możliwości. W miarę polepszania się gospodarczego położenia, nasz handel z Rumunią może wzróść wielokrotnie. Z Rumunii możemy przywozić znaczne ilości potrzebnych nam nasion oleistych, skór baranich na kożuchy, winogron, wina, rudy i t. p. Rumunia zaś ze swej strony może wzamian od nas kupować rozmaite wyroby przemysłu, których jej brak.

Jak największe znaczenie obrotów handlowych między Polską i Rumunią leży bezwzględnie w interesie obu krajów, ożywiony handel bowiem między krajami sojuszniczymi przy należytym wykorzystaniu wzajemnym portów morskich, poważnie się przyczyni do rozwoju gospodarczego i potęgi państwowej zarówno Polski jak i naszej sojuszniczki — Rumunii.

Inż. W. Chmielecki

Z kraju i ze świata

Bieg dziejów jest ostatnio tak szybki, często nieoczekiwany, że wydarzenia jednego miesiąca zmieniają mapę polityczną świata, układ sił i stosunków międzynarodowych, a zanim opis tych wypadków dojdzie do czytelnika, przychodzą nowe, doniosłe w swych skutkach wydarzenia. I tak na przykład ubiegłe miesiące marzec i kwiecień: jeszcze opinia publiczna nie zdążyła ochłonąć po rozpadnięciu się Republiki Czecho-Słowackiej i całkowitym jej zniknięciu z mapy Europy, a już w dniu 20 marca Rzesza Niemiecka zażądała od Litwy oddania jej kraju kłajpedzkiego. Ponieważ żądania te poparła groźbą, rząd litewski zmuszony był ustąpić i w dniu 23 marca do Kłajpedy wkroczyły wojska niemieckie.

W tym samym czasie doszło wprawdzie między Węgrami i Słowacją do porozumienia, ustalającego nową granicę między obu państwami, ale duże zaniepokojenie budziły dalsze zakusy Niemiec w kierunku rozszerzenia wpływów zarówno na Słowację, która przyjęła protektorat Rzeszy, jak i na Rumunię, która zawarła z Niemcami rozległy traktat gospodarczy.

Naprężenie sytuacji wzmogło się jeszcze bardziej, gdy w Wielki Piątek 7 kwietnia wojska włoskie wylądowały w portach albańskich i — mimo pewnego oporu ze strony bitnej ludności tego maleńkiego górzystego kraju — obsadziły wkrótce całe jego terytorium, włączając do imperium Italii, jako kraj koronny. Albania jest krajem ubogim, ale może stanowić dla Włoch dogodną bramę wypadową dla dalszych działań na terenie Półwyspu Bałkańskiego.

Jednocześnie nieomal zaczęto mówić o przeciwnym punkcie Morza Śródziemnego, Gibraltarze; zaniepokoiło to szczególnie Wielką Brytanię, która, trzymając straż nad tą cieśniną, panuje nad tak ważną dla siebie drogą do Indyj i na Daleki Wschód.

Tak poważne zagrożenie bezpieczeństwa i to w kilku odrazu punktach, wywołało silne poruszenie w państwach zachodnich. W ciągu kilku dni uległo całkowitemu przeobrażeniu życie publiczne we Francji jak i w Anglii. We Francji wobec groźby z zewnątrz ucichły spory i rozgrywki partyjne, co znalazło swój wyraz chociażby w ponownym wyborze na prezydenta Republiki Alberta Lebruna, zajmującego dotychczas to stanowisko. W Anglii zrozumiano, że nie można polegać wyłącznie na obronności odosobnionych wysp Wielkiej Brytanii (co zresztą wobec rozwoju lotnictwa nie jest już tak dużym zabezpieczeniem), ale że trzeba umocnić swe stanowisko przez szukanie sojuszników na lądzie. Stąd obok podkreślenia sojuszu z Francją, nagły zwrot ku Polsce, której męska postawa, niezłomna wola obrony granic budziły ogólny podziw na całym świecie. Między Anglią a Polską zawarte zostało porozumienie, na mocy którego oba kraje zobowiązały się do niesienia sobie nawzajem pomocy na wypadek wszelkiego zagrożenia bezpośrednio lub pośrednio niepodległości każdego z obu państw. Porozumienie to zostało bardzo życzliwie przyjęte przez cały naród angielski, który dał temu szczególnie serdeczny wyraz w czasie pobytu min. Becka w Londynie na początku kwietnia br. Dalszym objawem zmiany polityki Wielkiej Brytanii wobec Europy było zagwarantowanie przez nią niepodległości zarówno Rumunii, jak i Grecji i Turcji.

Akcja zaborcza Niemiec i Italii wywołała zaniepokojenie i na drugiej półkuli. Prezydent Roosevelt wystosował do Hitlera i Mussoliniego depeszę, wzywającą ich do wyrzeczenia się wszelkiej akcji zbrojnej przeciwko któremukolwiek z istniejących państw i zapewnienia światu pokoju na przeciąg 25 lat. Jednocześnie wyraził gotowość wzięcia udziału w rozmowach, celem znalezienia najpraktyczniejszego sposobu dla ożywienia handlu światowego oraz zapewnienia wszystkim narodom możliwości uzyskania surowców, niezbędnych dla życia gospodarczego. Depesza Roosevelta spotkała się z ostrą odprawą zarówno Niemiec, jak i Italii. Niemcy zwłaszcza z sposób niezmiernie gwałtowny zaatakowały Roosevelta, zarzucając mu obłudę i chęć zrzucenia zawczasu wszelkiej odpowiedzialności na państwa osi Rzym — Berlin. Najbliższa przyszłość może już okaże.

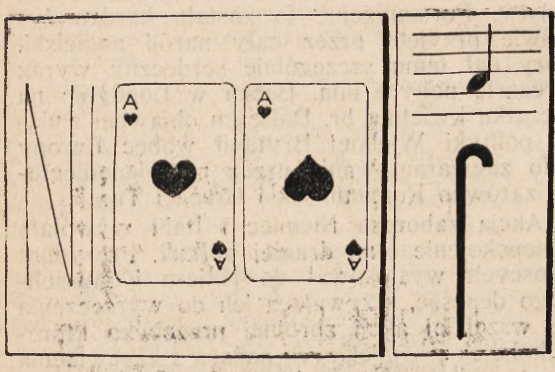
jak się potoczą dalsze wypadki. W każdym razie obecnie większość krajów europejskich wygląda jak wielki obóz wojenny. Wszystkie państwa na gwałt zwiększają swe siły zbrojne. Holandia powołała pod broń wojska obrony granic i wybrzeża; Francja zwiększyła liczbę swych wojsk na stopie wojennej do miliona żołnierzy, Belgia zmobilizowała wszystkie oddziały broni specjalnych i powołała na ćwiczenia oficerów i podoficerów rezerwy; Turcja i Estonia, podobnie zresztą jak i inne państwa, manifestują niezłomną gotowość obrony niepodległości i nienaruszalności granic.

Pożyczka Obrony Przeciwlotniczej. Zdecydowana wola społeczeństwa polskiego poniesienia wszelkich ofiar na rzecz obrony granic Rzeczypospolitej znalazła swój wyraz m. in. w entuzjastycznym przyjęciu, z jakim spotkała się wypuszczona przez Rząd Pożyczka Obrony Przeciwlotniczej. Jeszcze przed otwarciem urzędowej subskrypcji, do biura Generalnego Komisarza Pożyczki, gen. Berbeckiego, napływały z całego kraju, a nieraz nawet spoza jego granic deklaracje, z których niejedna była wzruszającym objawem patriotyzmu. Z chwilą otwarcia subskrypcji każdy dzień przynosił znaczne sumy zgłoszeń, przy czym warto podkreślić, że stosunkowo największy w niej udział bierze świat pracy. Zadeklarowano już kilkaset milionów. Obowiązkiem każdego obywatela jest wzięcie udziału w tej pożyczce.

Odroczenie sesji zwyczajnej Sejmu i Senatu. Wobec zakończenia prac nad budżetem oraz uchwalenia szeregu najważniejszych ustaw, przewidzianych na bieżącą sesję, Prezydent Rzeczypospolitej zarządzeniem z dnia 25 marca br. odroczył sesje zwyczajne Izb Ustawodawczych.

Zakończenie wojny domowej w Hiszpanii. Wojna domowa w Hiszpanii została wreszcie zakończona. Całkowite zwycięstwo odniósł gen. Franco, na którym spoczywa obecnie odpowiedzialny obowiązek przywrócenia normalnych warunków życia politycznego i gospodarczego. Wojna drogo kosztowała Hiszpanię. Jak wykazują przybliżone obliczenia, ogólna ilość zabitych w wojnie domowej sięga cyfry 1.200.000, z czego 450.000 wojskowych.

Rozrywki Umysłowe



5. REBUSIKI GEOGRAFICZNE.

Gudziej Mikołaj (W-wa)

Za rozwiązanie rebusików Redakcja „Polski na Morzu" przeznacza **5 wartościowych nagród książkowych.**

Rozwiązanie rebusików nadsyłać należy do Redakcji w terminie do dn. **28 maja 1939** z dopiskiem: **„Rozrywki Umysłowe".**

ROZWIĄZANIA

„POLSKA NA MORZU" Nr 3 — MARZEC 1939.

5. Szarada

Nasz statek

STATEK „BATORY"

Bezbłędnie szaradę rozwiązało 289 osób. W rezultacie nagrody otrzymują:

1. **Kita Edward** — Państw. Zakłady Lotnicze, W-wa 19 — Paluch — Okęcie — Wytw. Płatowców (Narzędziownia).
2. **J. Wicek Niewiarowski** — Siwiszki — poczta Rymszany Wil.
3. **Nowosielska Alicja** — Częstochowa, ul. Puławskiego Nr 10 m. 2.
4. **Kaszewski Hilary** — Grudziądz, Groblowa 58.
5. **Biłko Jan** — p-ta Kocobądź, Zaolzie, Ligota Alodialna 56.

Nagrody niebawem wysyłamy pocztą.

PRENUMERATA ROCZNA 2 ZŁOTE

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Widok 10; telefony: red. 5-22-04, admin. 6-99-66.

WYDAWCA: Liga Morska i Kolonialna **REDAKTOR: Stanisław Szymborski**

Druk. Zakł. Graf. „Dom Prasy" S. A., Warszawa, Marszałkowska 3